

Ł KOMOTYWA



styczeń 2014

Ducha miasta poszukuje
Mateusz Konitzer

Czy warto tu mieszkać?
pyta Jagoda Szczygieł

Oglądamy stare fotografie

Rozmawiamy z
burmistrzem Złotowa
Stanisławem Wetniakiem

„Jestem z miasta, to widać!”

Kochani! Kolejny numer LOkomotywy już zawitał na nasz peron „LO – Curie 9³/₄”! Musicie nam wybaczyć, ale tegoroczna zima nie sprzyja punktualności. Utknęliśmy w zaspie prac domowych i sprawdzianów... Nie wiemy, czy wiecie, ale wraz z tym wydaniem obchodzimy mały jubileusz, bowiem jest to już nasz dziesiąty numer!

Tym razem pragniemy pokazać Wam trochę naszego miasta. W związku z tym przeprowadziliśmy rozmowę z burmistrzem Złotowa, panem Stanisławem Wełniakiem. Zastanawialiście się kiedyś, jak dawniej wyglądał Złotów? Mamy dla Was kilka starych fotografii. A może zechcecie zajrzeć do dalszych wagonów? Polecamy pamiątnik osoby dojeżdżającej, dzięki któremu dowiecie się, jak wygląda codzienność niektórych z nas. Ale uwaga! Za chwilę rozpoczynamy ferie, więc życzymy Wam radosnego i przede wszystkim bezpiecznego odpoczynku. Wróćcie do nas cali i pełni energii, by podjąć nowe wiosenne wyzwania! :)

Wasze naczelne



Pomnik Piasta fot. Weronika Rogut

Spis treści

"Jestem z miasta, to widać"	2
W poszukiwaniu ducha...	3
Kto nie ma przyjaciół...	7
Złotowianin...?	10
A może Złotów	13
Granica na Kaczym dołku	14
Na styku kultur	16
W poszukiwaniu historii	17
Z kuchni naszych dziadków	18
Wszystkie moje podróże	19
Herbatka u pani Irenki	21
Osobisty rozkład jazdy	22
Przystanek Złotów	23

W poszukiwaniu ducha miasta

Niegdyś, na skraju niezbadanej dotąd dżungli, roztaczał się szlak kupiecki. Miejsce rabunków i morderstw, dokonywanych przez rozbójników okupujących pobliski zamek, usytuowany na wysepce jednego z licznych jezior. Ofiarami rozbójników byli nie tylko kupcy, ale również miejscowi mieszkańcy, zmuszani do składania danin. Tubylcy byli bezradni wobec bezwzględnych napastników, więc nadzieje na lepsze czasy pokładali w modlitwie.

Prośby zostały wysłuchane i pewnego dnia do gęstego lasu zawitali obcy. Jednak hufiec uzbrojonych rycerzy nie potrafił przedrzeć się przez gęstwinę lasu i dotrzeć do zamku. Aż nagle na horyzoncie ukazał się jeleni. Dumnym krokiem zbliżył się do wojowników i skinieniem łba pokazał, aby podążali za nim. Gdy dotarli do celu, napotkali kolejną przeszkodę: nie było żadnego mostu prowadzącego przez jezioro na wysepkę. I tym razem z pomocą przyszli leśni przyjaciele. Grupa bobrów ścięła drzewa, z których uformowano przejście. Rycerze ruszyli do ataku. Tego dnia zwycięstwo było im przeznaczone, bowiem już wcześniej myszy poprzegryzały bandziorem cięciwy luków. Wszystkich schwytanych rozbójników stracono, a znajdujące się na zamku kosztowności przeznaczone na jego odbudowę. Z biegiem czasu wycinano kolejne drzewa, zmniejszając tym samym obszar leśny. Mieszkańcy osady nie zapomnieli jednak o pomocy swoich leśnych przyjaciół i zachowali wspaniały las zwany Zwierzyńcem, a owiany legendą jeleni pozostał symbolem miasta.

Miasto na przestrzeni dziejów

Jedną z nierozstrzygniętych po dziś dzień zagadek Złotowa jest data założenia miasta. Na próżno szukać jej w źródłach historycznych, ręce rozkłada również wszechwiedzący Internet. Pierwsza wzmianka na temat mieściny ukazuje się w kronice Janka z Czarnkowa, obejmującej testament Kazimierza Wielkiego (zmarł w roku 1370). Ówczesny król Polski zapisał swojemu wnukowi Każkowi ze Słupska niejaki Welatow, czyli Złotów właśnie. W późniejszych latach miasto kilkakrotnie stawało się ofiarą ataków nieprzyjaciół - po raz pierwszy w roku 1455, kiedy to za sprawą Krzyżaków zostało niemal doszczętnie spalone. W 1657 roku na Złotów spadło kolejne nieszczęście, tym razem za sprawą Szwedów, którzy najechali na miasto, nie pozostawiając całego kamienia po zamku Grudzińskich i niemal przyległym do niego kościele. Pomimo licznych nieprzychylności losu i historii miasto na przestrzeni wieków rozwijało się. Kres temu postawił



Jeleni przy Ratuszu Miejskim, fot. Klaudia Stecka

dopiero I rozbiór Polski, na mocy którego pod panowanie Prus dostały się tereny m.in. Krajny. Dla ludności polskiej zamieszkującej Złotów następne dekady były okresem walki o zachowanie tożsamości narodowej i przekazywanie jej z pokolenia na pokolenie. Powstały liczne organizacje, zakładane przez Polaków - patriotów z pasją. W tym miejscu należy wspomnieć o powstałym w 1884 roku męskim chórze Cecylia, którego rola w pielęgnowaniu polskości była nieoceniona. Chór ten, pod nazwą "Towarzystwo Śpiewu im. św. Cecylii"

istnieje do dziś i jest jednym z najstarszych w Wielkopolsce.

Liczne inicjatywy wyraźnie nakreślają nam obraz atmosfery panującej wokół miasta. Tym łatwiej wyobrazić sobie nastroje towarzyszące Polakom po wybuchu I wojny światowej. Od ponad wieku widmo odzyskania niepodległości nie było tak blisko - co więcej - Niemcy w tej wojnie ponieśli klęskę i za pewnik przyjmowano utworzenie Państwa Polskiego, wliczając w jego granice Złotów. Jednak i tym razem los nie był dla złotowian łaskawy. Na mocy traktatu

wersalskiego powiat podzielono na pięć części, z czego dwie przydzielono do Polski. Złotów znajdował się po stronie III Rzeszy, pozostając Flatowem.

Flatow był miastem wielokulturowym oraz wielowyznaniowym, w którym żyli Niemcy ewangeliccy i katolicy, Polacy

dowiedzenia się, jak to się kiedyś w tym Złotowie żyło. W poszukiwaniu lokalnej duszy udałem się do najstarszego w mieście zakładu fryzjerskiego popularnych "szachistów", znajdującego się przy ul. Dworzaczka, na wcześniej umówione spotkanie z panem Janem Szopierajem. Przybywszy na miejsce siadam cicho przy stoliczku, czekając, aż obsłużony zostanie ostatni klient. Przyglądam się pomieszczeniu. Jego przestronność nie jest typowa dla dzisiejszych standardów. Od razu widać, że w tym współdzielonym niegdyś salonie pracowało wielu fryzjerów. Duże lustro, boazeria, firana w oknie wystawowym. Na wysokim mebelku stoi fotografia pana Benedykta z burmistrzem miasta Stanisławem Wełniakiem. Zdjęcie wyszło z inicjatywy władza Złotowa, który odwiedził zakład i pragnął zachować pamiątkę z tego spotkania. Ujęcie jest nietypowe, z żabiej perspektywy, czyli wykonywane w pozycji leżącej, by uniknąć lustrzanego towarzystwa fotografa. Rozglądam się uważnie, nigdzie nie widać śladu legendarnej szachownicy... Nareszcie drzwi zamykają się za ostrzyżonym mężczyzną. Wymieniamy zdania, rozmowa klei się jeszcze niezdarnie, ale za kilka chwil popłynię opowieść, która przeniesie nas wiele lat wstecz...

Pan Benedykt przyjechał do Złotowa za młodu i początkowo uczył się fachu u fryzjera Stacewicza - Kirkiłło. Wspólnie oszacowaliśmy, że była to końcówka lat 50-tych. Tuż po ukończeniu praktyk, gdy w zakładzie zwolniło się stanowisko, mój rozmówca rozpoczął pracę. Młodszy brat Jan, zakończywszy służbę wojskową, dołączył do drużyny fryzjerskiej i od tego czasu panowie nieprzerwanie pracują razem.

Życie w tamtych czasach nie toczyło się wokół pracy: *Na Wojska Polskiego była taka knajpa "Pod Jeleniem", bardzo dobrze ją pamiętam* - wspomina starszy z braci. *U góry była kawiarnia, a w niej co sobotę*



Plac Paderewskiego, fot. Klaudia Stecka

Niedługo później podjęto jeszcze jedną, desperacką próbę odwołania się od ustaleń dokumentu. Starania Powiatowej Rady Ludowej nie przyniosły jednak oczekiwanego rezultatu, a odpowiedź na odwołanie ostatecznie odarła Polaków ze złudzeń. Złotowianie zaczęli licznie wyjeżdżać do Polski, niejako oddając Flatow Niemcom. Spotkało się to z dezaprobatą ks. Bolesława Domańskiego, który w pamiętnych słowach skrytykował emigrantów: Zdradę narodową popełnia ten, kto opuści swą ojczyznę i odda ją w ręce niemieckie. Istotnie, była to selekcja najwytrwalszych mieszkańców, mocno związanych z krajeńskimi ziemiami. W 1922 roku w Berlinie odbył się zjazd założycielski Związku Polaków w Niemczech, organizacji, której zadaniem było dbanie o interesy Polaków na obczyźnie. Rok później w Złotowie powstała siedziba V dzielnicy, tzw. Pogranicza. Ponadto w okresie międzywojennym na terenie Złotowszczyzny powstały 22 polskie szkoły. Było to nie lada osiągnięcie zważywszy na ówczesny podział społeczeństwa.

oraz Żydzi. *Jak pamiętam, do wybuchu wojny wszyscy żyli w zgodzie* - wspomina w swoich pamiętnikach Bernadeta Kowalska, która swoje dzieciństwo spędziła na ziemiach złotowskich. Precyzując: do 1938 roku, do momentu spalania przez Niemców Synagogi, znajdującej się na centralnym placu miejskim (dzisiejszy Plac Paderewskiego). Flatow nie był bierny wobec przelewającej się krwi na polach bitew. Miała tutaj miejsce trzynastodniowa bitwa o Wał Pomorski, w której naprzeciw hitlerowców stanęła I Armia Wojska Polskiego, ponosząc klęskę. Złotów wyzwolono 31 stycznia 1945 roku dzięki IV Dywizji Piechoty im. J. Kilińskiego, kończąc tym samym widziane jedynie w odcieniach szarości 173 lata niewoli.

W powojennym Złotowie

Mnogość wydarzeń, jaka miała miejsce w czasach powojennych sprawia, że opisanie ich wszystkich jest niemożliwe. Zamiast tego podjąłem próbę wniknięcia w charakter miasta, poznania jego realiów i, najogólniej rzecz ujmując,

odbywały się dancingi. Zawsze było tam pełno młodzieży, zresztą starsi też chętnie przychodzili. Monotonie codzienności pomagały przełamać wydarzenia sportowe: U nas, na Sparcie, istniała piłka nożna, hokej i boks. W boksie, w wadze półciężkiej mieliśmy nawet mistrza Polski. Chodziłem na boks, hokej i uważam, że były na bardzo wysokim poziomie. Z przyjemnością się oglądało - mówi. Hokeiści początkowo rozgrywali swoje mecze na jeziorze Baba. Z ławek przynoszonych ze szkoły zawodowej ustawiano tam bandy, aby krążek za daleko nie wyleciał i choć całość wyglądała na prowizorkę, to nikt nie narzekał. Z lodowiska korzystali również mieszkańcy: *Myśmy na jezioro chodzili na łyżwach jeździć. Zimy były surowsze niż teraz, lód był do pół metra grubości i jak tak sunęliśmy po tym lodzie, to aż dudniło, śpiewało wręcz!* - rozpromienia się pan Benedykt.

Wydarzeniami sportowymi emocjonowano się nie tylko na skalę lokalną. Na Placu Paderewskiego, na którym niegdyś był rynek, znajdował się wielki, betonowy słup elektryczny i podczas imprez sportowych wyższej rangi puszczano przez rozmieszczone wokół megafony relację z zawodów. Największą popularnością cieszył się Wyścig Pokoju. Zmagania kolarzy można było śledzić każdego dnia. Takie były czasy. Nie każdy miał w domu radio i ludzie licznie zbierali się na placu, aby jednocześnie się w dopingiu dla naszych. Wyścig Pokoju był bowiem rywalizacją o zabarwieniu politycznym.

Próba skonfrontowania starego Złotowa z dzisiejszym wydaje się niemożliwa, bo choć miasto jest nowocześniejsze, nic nie wygra z młodością: *Dzisiejszy Złotów jest o wiele ładniejszy, nie ma porównania! Widać to na każdej ulicy, na każdym kroku zrobionym po nowym chodniku. Dotacje unijne nie idą w błoto. Ha, a Złotów będzie jeszcze ładniejszy! Wielu moich kolegów, którzy wyjechali na*

Zachód, wraca i miasta poznać nie mogą. Tak wiele się pozmieniało. Mi się Zachód nie podoba i zostaną tutaj na zawsze. A Złotów dawniej? Też był ładny, bo człowiek był młody. Jak człowiek młody, to wszystko się podoba - kończy refleksyjnie starszy z braci.

U „szachistów”



Bracia Szopierajowie w swoim zakładzie, fot. archiwalna

Swoim życiem tętnił również zakład fryzjerski. Od zawsze panowała tutaj dobra atmosfera, gwar, było wesoło. Do czasu wykupienia zakładu przez braci, w środku panował iście "tytoniowy" klimat: Kiedy palili latem, to jeszcze nie stanowiło to większego problemu, ale zimą to można tu było kielbasę wędzić! Kiedy myśmy zaczęli tutaj urzędować, palenia zakazano i choć z początku nasi klienci się żalili, to zostaliśmy nieugięci - przyznaje z nieskrywanym zadowoleniem. W salonie do dziś prowokacyjnie została stara popielniczka, a obok niej specjalna karteczka przypominająca o zakazie.

W powszechnej świadomości mieszkańców, zwłaszcza tych starszych, salon uchodzi za miejsce, w którym wszystkiego można się dowiedzieć, traktują go jak „gadalnę”, swoisty hyde park, lokum, przez które płynie setki anegdot, historyjek, plotek: *Ludzie*

mawiają: "u was wszystkiego można się dowiedzieć", a my im na to: "bo wy nam przynosicie te wiadomości!". Tak, wiele sobie rozmawiamy, ale wszystkiego dowiadujemy się od naszych gości. My nie jesteśmy śledczy! - śmieje się pan Benedykt. Zamiast nazywać zakład plotkarnią, powinno się mówić o nim jak o miejscu historycznym: Z Sanepidu się

dowiedziałem, że takiego zakładu jak ten to nie tylko w powiecie, ale w całej Polsce prawie nie ma! Ten zakład już przed wojną tutaj był. Zobacz pan te lustra, to są jeszcze przedwojenne. Szlifowane, niezaciekające. Poza nimi jednak jedyną rzeczą, która została tutaj z tak odległych czasów, jest krzyż. Z krzyżem wiąże się zresztą pewna historia: Komuniści chcieli nam go zdjąć! Przybył do nas pewnego dnia kierowca, myśmy na niego mówili szósty sekretarz, bo woził sekretarzy. Dostał on polecenie zdjęcia krzyża w zakładzie, a było wtedy pełno klientów. Myśmy się oburzyli, daliśmy mu popalić i poszedł jak zmyty! Kolejny raz już się u nas nie pojawił - uśmiecha się. Innym razem, w czasie stanu wojennego zakład odwiedziła milicja, gdyż formowało się ZOMO i trzeba było ogolić "parę" głów. Pan Szopieraj pospiesznie spakował sprzęt i udał się na posterunek. Na pytanie, czy się nie bał, odpowiada ze

zdziwieniem *Przecież ja ich wszystkich znałem! Ponadto po ukończeniu pracy milicja wypłaciła należyte pieniądze i to zgodnie z cennikiem. Problemy zaczęły się w drodze powrotnej: Daleko nie zaszedłem, gdy w okolicy parku zatrzymało mnie 5 milicjantów, takimi grupkami wtedy chodzono. Jeden z nich, którego zresztą znałem, poprosił mnie o dowód (w czasie stanu wojennego noszenie dowodu było obowiązkowe), a ja swój z pośpiechu zostawiłem w zakładzie. Mówię mu, że przecież mnie zna, ale w odpowiedzi usłyszałem tylko: „Ile żeś pan dzisiaj zarobił, tyle ja panu zabiorę”. No to powiedziałem wprost, że wracamy na posterunek, a tam czekał na niego człowiek wyższy rangą, który zlecił mi tę pracę. Miałem wygrane. Milicjant zwątpił i jak stwierdził - "tylko zażartował". Takie były czasy, że o wszystko trzeba było walczyć, a problemy pojawić się mogły w najmniej spodziewanym momencie. – komentuje mój rozmówca.*

Pora wyjaśnić najważniejszą

zwłaszcza szachy, które wśród mieszkańców Złotowa znalazły wielu zwolenników. Dwie osoby grały, a ludzie bacznie im się przyglądali: *Niekiedy podczas gry dochodziło do kłótni. Szczególnie, gdy jeden klient drugiemu podpowiadał. Nieprawdą jest jednak, że wypraszałiśmy z tego powodu. Wyprosić owszem, zdarzało się, ale tylko pijanych awanturników - wspomina starszy z braci. Szczególnym fanem spędzania czasu przy szachownicy był pierwszy burmistrz Złotowa, Jan Kocik: *Mielim takiego klienta, już na emeryturze, Kocik się nazywał. Jak przyszedł o 9, to potrafił grać aż do zamknięcia lokalu. Zawsze nam tłumaczył, że gra po to, aby jego umysł nadal pracował. Grał do dziewięćdziesięciu paru lat. Kiedy skończył, jego stan zdrowia znacznie się pogorszył – konkluduje pan Jan Szopieraj. Szachy w zakładzie fryzjerskim urastały do miana kultowych. Zapaleńców takich jak pan Kocik było więcej: *-Jak ludzie z terenu do miasta przyjeżdżali, to wstępowali do nas***

*mniej, a w dodatku młodzież nie gra. Tymczasem miejsce szachownicy zajął elegancki akordeon: Teraz sobie muzykujemy. Kiedy przychodzi nasz znajomy organista, a jest kolejka, to on zdejmuje futerał, zakłada akordeon i nam gra. Czasami nawet godzinę czy dwie. Klientom bardzo się podoba. Bywa, że zwalniają na ulicy, aby chwilę posłuchać. - rozpląwa się. Braciom praca w zakładzie sprawia przyjemność i - jak sami twierdzą - zamierzają trwać w swojej profesji tak długo, jak zdrowie pozwoli: *Widzi pan, aby trzęsły mi się ręce? – zupełnie retorycznie pyta pan Benedykt. Nie widzę.**

Kiedy opowiada się o mieście, zawsze sięga się do jego historii, wspominając najważniejsze wydarzenia, ludzi zasłużonych i zajmujących wysokie stanowiska. O tzw. zwykłych mieszkańcach najczęściej się milczy, zapominając, że to oni tworzą niezwykły klimat lokalnego środowiska, nadają mu niepowtarzalny charakter, są jego duszą.

Mateusz Konitzer



Zakład fryzjerski "Szachistów", fot. Leszek Drwęcki

kwestię. Dlaczego właściwie panów fryzjerów określa się do dzisiaj mianem "szachistów"? W salonie przy ul. Dworzaczka swego czasu były długie kolejki i aby umilić klientom czas, postanowiono zaopatrzyć się w szachownicę i warcaby. Przyjęły się

*i choćby jedną partyjkę rozegrać chcieli. Dyrektor PGR-u ze Scholastykowa, Kozłowski, jak tak wszedł i zobaczył, że Kocik siedzi bez przeciwnika, to nie potrafił wytrzymać. Po chwili dodaje z wyraźną nutą żalu: *Dzisiaj już nie gramy, zostaliśmy sami. Czasu też coraz**

Źródła:

www.zlotow.pl

staryzlotow.wordpress.com

www.gminazlotow.pl

Rozmowa z Benedyktem Szopierajem
02.12.2013r

Wspomnienia dziadków, państwa Smolarz

Książka "Złotów nasz i wasz, cz. 2" wyd. Biblioteki Muzeum Ziemi Złotowskiej pod red. Zofii Jelonkowej, Złotów 2012

Książka "Legends i podania Krajny i Pojezierza Wałęckiego" autorstwa Beaty Stankiewicz. Wyd. Region, Gdynia 2009

Kto nie ma przyjaciół, nie zasługuje na wrogów

Lubimy Złotów. Obserwujemy, jak przeobraża się i pięknieje. Przyjezdnych prowadzimy w uroczne zakątki, by podziwiali, zazdrościli. Wyliczmy atuty miasta: szkoły, biblioteka, muzeum, basen, hale sportowe, boiska, ścieżki rowerowe... Wiele zmian dokonało się w Złotowie, ale niezmiennie pozostały sympatie wyborcze: burmistrz? Stanisław Welniak.

Redakcja: Wielu złotowian rozczarowała informacja, że nie będzie się Pan ubiegał o reelekcję. Czy rozstanie z pełnią przez lata funkcją jest trudne?

Stanisław Welniak: Po tylu latach pracy na pewno coś pozostaje, jednak plan zakończenia działalności właśnie teraz mam już od dłuższego czasu, jestem więc psychicznie przygotowany i nie obawiam się stresu. Na pewno pierwsze dni będą dziwne, zachwiany zostanie porządek dnia, codzienny rytuał porannego wstawania, chodzenia do pracy, powrotu do domu, ale myślę, że sobie poradzę.

Czy ma Pan poczucie dobrze wykonanej pracy?

To pytanie nie do mnie powinno być skierowane, bowiem funkcja burmistrza wiąże się z oceną mieszkańców. Jest to specyficzny rodzaj pracy - urząd służy ludziom, a nie odwrotnie. Ocena mieszkańców byłaby obiektywną informacją na temat mojego dorobku. Mogę jedynie powiedzieć, że w bezpośrednich relacjach z ludźmi spotykam się raczej z pozytywnymi opiniami o mieście, o tym, co się tu wydarzyło, zmieniło w ostatnim czasie. Oczywiście życzylibym sobie, żeby ta ocena nie była bardzo krytyczna i negatywna.

Pełni Pan swoją funkcję wiele lat, jest to chyba dowód wielkiego zaufania złotowian. Podobno w kolejnych wyborach miałby Pan wygraną w kieszeni...



Jagoda, Klaudia, Ola z burmistrzem S. Welniakiem, fot. redakcja

Tak mówią. Oczywiście bardzo mnie to cieszy, łechce moją próżność, ale na pewno nie da się tej opinii sprawdzić. Decyzja podjęta. Swoją funkcję sprawuję, wyłączając niewielką przerwę, od ponad 30 lat, a przez ten okres czasu udało się szereg ważnych rzeczy zrobić. Dorobiłem się nawet dowcipu o własnej osobie. Opowiadał mi pan komendant miejscowej Policji, że gdy odchodził jeden z funkcjonariuszy na emeryturę, zapewne w wieku 42 lub 43 lat, wspomnieli w rozmowie o mnie i ów człowiek stwierdził: „przecież ja innego tam człowieka oprócz Welniaka nie znam”. To mi uświadomiło skalę wpływu czasu, bo gdy ja zaczynałem, to on zapewne chodził do przedszkola...

Co udało się Panu zmienić w wyglądzie i funkcjonowaniu miasta?

Na pewno nie jest to już miasto, które było kiedyś. Za tak zwanego PRLu

Złotów rozwijał się ekspansywnie, ponieważ przybywało ludzi i mieszkań. Na początku lat osiemdziesiątych złotowian było 15 tys., a pod koniec dekady prawie 19 tys. Przyrost ludności był więc znaczny. Budowało się bardzo dużo mieszkań, ale brakowało pieniędzy na rozwój infrastruktury. Nie było oczyszczalni ścieków, nie przebudowywano kanalizacji, nie doprowadzono gazu miejskiego. Natomiast od lat dziewięćdziesiątych można było szybko nadgonić zaległości i dziś mamy czym się chwalić, wyprzedzamy o 10 – 15 lat miasta, w których dopiero zaczyna się inwestować w najważniejszą infrastrukturę, czyli wodę i kanalizację, wysypisko śmieci, ciepło zdalnie dostarczane. Zastosowane zostały nowoczesne rozwiązania i dobrze to wszystko funkcjonuje - to jest atut Złotowa. Nie mniej ważna od wspomnianej jest infrastruktura

społeczna: od wielu lat mamy kryty basen, a jego rozbudowa okazała się dobrym pomysłem, ponieważ aż o 20% nastąpił wzrost zainteresowania pływaniem. Mamy również nowoczesną halę sportową, kilka boisk, lodowisko, itd. Zatem obiekty i miejsca użytku publicznego są na odpowiednim poziomie, funkcjonują, służą mieszkańcom miasta i okolic. Jeśli spojrzymy na Złotów z tego punktu widzenia, to na pewno ostatnie lata nie były stracone.

Powiedział Pan kiedyś, że każdy złotowianin będzie umiał pływać.

No i w tej chwili tak jest. Mamy badania, że wszystkie dzieci, które kończą szkołę podstawową, potrafią pływać. Jedne lepiej, inne gorzej, ale to jest sukces. Jedna godzina zajęć w tygodniu dla szkół podstawowych jest bezpłatna i to powoduje, że wszystkie dzieciaki mogą obywać się z wodą, a według mnie jest to równie ważne jak umiejętności z matematyki czy języka polskiego.

Czy miał Pan coś w planach, czego nie udało się zrealizować, na co zabrakło funduszy, czasu?

Oczywiście, zawsze są ograniczenia finansowe wszystkich pomysłów, ale wydaje mi się, że inwestycje udało się realizować w odpowiednim momencie, kiedy pozyskiwanie środków zewnętrznych było łatwiejsze niż obecnie, kiedy możliwości finansowe miasta były większe. W ostatnich latach mamy jako Samorząd coraz więcej obowiązków, a coraz mniej pieniędzy. Jest to sytuacja niezależna od nas. Teraz pozostaje kwestia utrzymania obiektów, należy o nie dbać i ewentualnie modernizować, żeby jak najlepiej i jak najdłużej służyły mieszkańcom. Chciałoby się więcej i lepiej, ale Złotów nie jest Dubajem, nie ma tu ropy ani żył złota.

Co Pan uważa za swój największy sukces?

Osobisty? 15 lat temu przestałem palić papierosy. Odczuwam to jako duży sukces, gdyż nie wierzyłem, że uda mi się wyzwolić. To jest chyba jeden z najgorszych nałogów do zwalczenia.

Wam, młodym, mogę jedynie powiedzieć: odradzam zaczynać. A sukces zawodowy? Nie ma co ukrywać, jeden, że mieszkańcy pozwolili mi przez tyle lat zajmować ten gabinet i działać na rzecz miasta.

Doświadczył Pan porażki?

Cóż, na pewno były większe czy mniejsze, ale jak mówią, dopóki nie masz przyjaciół, nie zasługujesz na wrogów, i odwrotnie. Więc jeśli się nie ma sukcesów, to i nie ma porażek. To znowu kwestia oceny zewnętrznej, mieszkańców, którzy wskazaliby, czego oczekiwali, co ich zawiodło.

Czy Złotów jest miastem, w którym młodzi ludzie mogą się rozwijać, znaleźć dobrą pracę?

No więc właśnie, ci którzy nie mają wiedzy o kompetencjach samorządu i nie rozumieją możliwości działania burmistrza, mogą uznawać za naszą porażkę właśnie fakt, że nie ma nowych miejsc pracy, że miasto się nie rozwija, że liczba mieszkańców nie wzrasta. To jest na pewno zjawisko negatywne w Złotowie, ale od nas niezależne. My byśmy też chcieli, żeby tu powstały jakieś nowoczesne miejsca pracy, ale gospodarka światowa jest tak skonstruowana, że skupia się w istniejących już centrach, tam gdzie są szkoły wyższe, gdzie jest odpowiednia infrastruktura, tzw. otoczka dla biznesu. A miasta typu Złotów, dodatkowo z niefortunnym położeniem jeżeli chodzi o lokalizację komunikacyjną, są skazane na trwanie.

Problem ten dotyka cały świat, również Europę. Nasze miasta partnerskie

w Niemczech czy Francji borykają się z takimi samymi problemami jak Złotów. Są to poważne dylematy naszych czasów. Pewien Amerykanin, nazwiska w tej chwili nie pamiętam, specjalista do spraw miasta, na podstawie badań doszedł do wniosku, że w wyniku globalizacji nowoczesne miejsca pracy będą powstawały jedynie w wielkich aglomeracjach, natomiast peryferia będą borykać się z wieloma problemami.

Jedynym ratunkiem będą zdalne miejsca pracy, możliwe dzięki Internetowi, ale jako zajęcia tymczasowe. Twierdzi również, że gdyby wdrożono wszystkie znane technologie, zatrudnienie znalazłoby jedynie 10-15% ludzi w skali globu. Co będzie robiła reszta populacji? To wizja przyszłości, która was dotknie.

Co, Pana zdaniem, może przyciągnąć do Złotowa młodzież?

Wielu ludzi z zewnątrz osiedla się w Złotowie na stałe, ale niestety są to osoby albo u schyłku swojej kariery zawodowej, albo emeryci. Młodzi wracają, ale już z doświadczeniem, gdy im się proponuje miejsce pracy bardzo atrakcyjne finansowo. Jednych i drugich przyciąga to, o czym mówiliśmy na początku - że jest to miasto wygodne do życia, dobrze zaplanowane urbanistycznie, niezbyt rozległe.

Jest tutaj parę zakładów nowoczesnych, np. drukarnię, Media Expert, gdzie wielu młodych ludzi znajduje zatrudnienie.

Mam bardzo niepopularny pogląd, że miastu nie powinno zależeć na każdym miejscu pracy - gdy człowiek po studiach zarabia 1500 zł, to ani jemu, ani miastu nic nie daje. My nie mamy podatku, a pracującemu ledwo wystarcza na utrzymanie. Nie może myśleć o kupnie mieszkania, rozwoju. Takie miejsca pracy moim zdaniem są niepotrzebne - gdzie wymagane są kwalifikacje, musi być za nie godziwa rekompensata.

Dlatego tak wiele osób wyjeżdża za granicę? Co Pan o tym sądzi?

W ostatnich latach wyjechało, wg różnych szacunków, około 2 mln młodych ludzi, najczęściej wykształconych, kreatywnych, w przedziale 25-35 lat, którzy powinni pracować tutaj.

Możemy mieć tylko nadzieję, że sytuacja w Polsce się zmieni, możemy postulować, krytykować ten stan, ale lokalnie nie mamy żadnych instrumentów, żeby mu zapobiegać.

Przyniosłyśmy ze sobą kilka starych zdjęć Złotowa. Mógłby Pan nam coś opowiedzieć o historii tych miejsc?

Zdjęcie 1 - O historii tych miejsc... no proszę... To jest stary pomnik na cmentarzu żołnierzy polskich i radzieckich. Stanął krótko po założeniu nekropolii. Jak wiecie, to nie jest



Zdjęcie 1

cmentarz żołnierzy poległych w Złotowie, ale tych, którzy zginęli w połowie drogi do Wałcza, na przedmurzach Wału Pomorskiego. Pomnik był bardzo zniszczony i w latach 1981/82 został wybudowany nowy; przebudowano również cmentarz.

Zdjęcie 2 - To wiadomo, nasza fara, kościół, od strony ul. Kościelnej. Zdjęcie



Zdjęcie 2

ma już kilka lat, gdyż drzewa zdążyły być zdecydowanie wyższe, a teraz zostały ścięte. O kościele nie będę za wiele mówił, przecież wiecie, że jest to jeden z największych zabytków Złotowa. Obecnie trwają prace renowacyjne wewnątrz fary. Jako miasto partycypujemy w kosztach przebudowy i rekonstrukcji.



Zdjęcie 3

Zdjęcie 3 - Na tym zdjęciu mamy „30 lat PRL”, więc był to 1975 rok. Ratusz wygląda teraz trochę inaczej. W 2000r. został wyremontowany, historyczne witraże w oknach również poddano renowacji. Budynek ma swoją historię, niebawem będzie miał 100 lat. Po wojnie był siedzibą NKWD... Tu zawsze rezydowały władze miasta. Jedynie w 1945-46 r. siedziba ówczesnego Zarządu Miasta znajdowała się na Placu Paderewskiego.



Zdjęcie 4

Zdjęcie 4 - Plac Paderewskiego nazywano kiedyś Pietruszkowym Rynkiem, bowiem w tym miejscu odbywały się targi. Jeszcze wiele lat po wojnie handlowano w drewnianych pawilonach, które zlikwidowaliśmy pod koniec lat 70.



Zdjęcie 5

Zdjęcie 5 - Stary dworzec PKP. Tutaj, w okresie wyzwolenia miasta w 1945 roku, stacjonował Sztab IV Dywizji Wojska Polskiego, a z nim były premier PRL-u, Piotr Jaroszewicz. Mogę uznać egzamin za zaliczony? (śmiech)

Owszem! Jakie ma Pan plany na przyszłość?

Zawsze brakowało mi czasu na rozwijanie zainteresowań, więc teraz będę mógł wrócić do zaległych spraw. Poza tym lubię podróże, zimą na narty, latem nad ciepłe morza... No i mam wnuka 3-letniego, który jest coraz bardziej zainteresowany dziadkiem, oraz czteromiesięczną wnuczkę, więc mam kim się zajmować.

Czego życzyłby Pan swojemu następcy?

Żeby miasto nadal się rozwijało, a przede wszystkim, żeby z powodu braku doświadczenia nie popełnił jakichś błędów. Nie jest tajemnicą, że wspólnie z obecnymi radnymi podjęliśmy decyzję o wspieraniu jednego z kandydatów. Myślę, że jeśli będzie chciał kontynuować naszą pracę, wykorzystać aktualny plan rozwoju Złotowa, będzie miał pole do działania. Wszystko jednak pozostaje w rękach wyborców.

Dziękujemy za rozmowę.

*Jagoda Szczygieł
Aleksandra Terkiewicz*

źródło

zdjęć:

<http://staryzlotow.wordpress.com/>

Złotowianin...?

„Być albo nie być, oto jest pytanie” – być może Hamlet takie pytanie ponownie zadałby sobie, gdyby żył w XXI wieku i decydował o swoim miejscu zamieszkania. Ciekawe, czy chciałby być właśnie złotowianinem... Takie pytanie zadajemy sobie i my – młodzi mieszkańcy Złotowa. Podjęcie decyzji nie jest łatwe. Dlaczego? Odpowiedź wymaga uważnego spojrzenia na naszą sytuację.

Złotów - miasto o osiemnastu tysiącach twarzy mieszkańców w różnym wieku, spełnionych w swoim życiu, lub nie. Komu żyje się tu najlepiej? Czy ludziom dążącym do stabilizacji, dla których każdy dzień jest pewnym krokiem naprzód? A może lekkoduchom w wieku szkolnym, których codzienność to rutyna, zabezpieczona spokojnym miejscem wychowania, dorastania? Być może moje miasteczko jest jedynie miejscem spokojnej starości? Nas, młodych czytelników „LOkomotywy”, zainteresuje z pewnością, czy pozostanie w Złotowie jest dobrym pomysłem na przyszłość. Rozejrzyjmy się...

Starsi vs młodzi

Z biegiem lat Złotów bardzo się zmienił, wypiękniał. We wspomnieniach dziadków, a nawet naszych rodziców miasto przed laty nie prezentowało się tak bogato i schludnie jak dziś: *Kiedy wprowadzaliśmy się do Złotowa w październikowy, deszczowy dzień 1991r, nasz nowo wybudowany blok tonął w... błocie. Teraz każdy centymetr osiedla jest pięknie zagospodarowany!* - wspominają moi rodzice. Przejeżdżając złotowskimi ulicami trudno nie zauważyć, że miasto jest zadbane, czyste - po prostu ładne. Nie brakuje w nim zieleni, miejsc, gdzie można wypocząć, nabrać sił, udać się na spotkanie z najbliższymi. Najbardziej popularnym i ulubionym miejscem do aktywnego wypoczynku jest Promenada, na której, szczególnie w niedzielne popołudnia można spotkać wiele osób spoza miasta.



Miejski Park spotkań, fot. Weronika Rogut

Tam mieszkańcy wybierają się na rower, korzystać ze ścieżek rowerowych, rolki czy popularne „kijki”. Dzięki klubów fitness, zestawu boisk „Orlik 2012”, krytego basenu, a w okresie zimowym z lodowiska. Nasuwa się więc jeden wniosek – mieszkańcy Złotowa na

każdym kroku mogą dbać o swoje zdrowie! Wydaje mi się, że miasto proponuje społeczeństwu naprawdę świetną możliwość spędzania wolnego czasu. Zarówno młodzież, osoby dojrzałe, jak i starsi z tej możliwości korzystają: *Złotów to przyjazne miasto, które z roku na rok rozwija się i pięknieje. Nie dość, że leży w bardzo urokliwym regionie, to również widać, że jest zadbane i dobrze zagospodarowane. Poza tym znajdzie się tu dla każdego coś dobrego. Miasto i dla sportowców, i dla artystów-* podsumowuje kobieta ankietowana (18-25 lat). Możemy jednak korzystać nie tylko z infrastruktury turystycznej, ale i z pełnej opieki zdrowotnej (szpital, liczne przychodnie i apteki), lokali gastronomicznych oraz sieci marketów i małych sklepów.

Złotów to miasteczko raczej spokojne. Rzadko panuje tu wzmożony ruch uliczny (na szczęście!), nie ma też większego problemu z przestępczością, nasiloną przecież w większych miastach w Polsce. Rozmawiając z kilkoma osobami, także w wieku średnim, dowiedziałam się, że mieszkańcy Złotowa czują się bezpiecznie: *Nie boję się przechadzać złotowskimi uliczkami, nawet o zmroku. Nie zamieniłabym tego miasta na żadne inne - mówi 49-letnia*



Młodzi piłkarze na "Orliku", fot. Weronika Rogut

złotowianka. Co o naszym mieście sądzą najstarsi mieszkańcy? *Złotów jest miastem pełnym zieleni, a takie miejsca jak Promenada czy Park Miejski czynią go bardzo przyjaznym dla starszych ludzi. Bardzo pomagają niewielkie odległości między najważniejszymi placówkami. Osobiście bardzo cieszę się z inicjatyw organizowanych w Klubie Ziemiowit, gdzie można miło spędzić czas – grając w brydża lub skata – swoimi spostrzeżeniami dzieli się z nami emerytowana pani Irena. Zatem Złotów jest idealnym miejscem dla wszystkich? Faktem jest, że w mieście nie ma*

niektórych ośrodków kultury (teatr, kino) czy wyboru kawiarni z prawdziwego zdarzenia, ani wielkich centrów handlowych. Co na to młodzież? *Myszę, że Złotów jest przyjemnym miastem i dobrze mi się tu mieszka, więc nie sądzę, żebym wolala żyć na wsi albo gdziekolwiek indziej. Mogłoby być tu więcej miejsc, w których można spędzać wolny czas, np. kino, ale porównując Złotów do innych małych miast uważam, że szybko się ono rozwija. Oczywiście fajnie byłoby gdyby powstała tu jakaś galeria...- twierdzi uczennica gimnazjum. Duża ilość zieleni i spokoju jest atutem miasta. Ale nie da się ukryć, że Złotów jest nudny. Jest to miasto dla emerytów, którzy preferują przesiadywanie na ławce nad jeziorem. Dla ludzi młodych w Złotowie jest mało atrakcji. Kino, w którym film pojawia się raz na miesiąc. W Złotowie przydałoby się jakieś centrum rozrywki – zauważa ankietowany (18-25lat), jednocześnie zwraca uwagę na inny problem: *Złotów nie daje również młodym szans na pracę po studiach. Młodzi nie chcą wracać do Złotowa, bo brak tu większych zakładów pracy. Dlatego nie ma co się dziwić, że nasz Złotów niestety się starzeje.**



Licealiści na pływalni "Laguna", fot. Weronika Rogut

Ucieczki i... powroty?

Każdego roku złotowskie szkoły średnie opuszczają młodzi, zdolni, ambitni ludzie, którzy z głową pełną ideałów i marzeń ruszają w szeroki świat, by zdobywać wiedzę na wyższych uczelniach. Wciąż pamiętają o Złotowie, który ich wychował, w którym spędzili najważniejsze chwile swojej wczesnej młodości. O Złotowie, do którego chcieliby wrócić, ale czy im się to opłaca? Z jednej strony warto tu wrócić, chociażby dla tej ciszy i spokoju, których brakuje w większych miastach. Dla poczucia bezpieczeństwa, najbliższych. Ale czy ci, którzy powrócą, mogą znaleźć pracę, która zapewni im godne warunki życia oraz samorealizację? *Jest to małe miasto, w którym nie wszyscy mogą znaleźć pracę. Po niektórych kierunkach studiów nie ma tu czego szukać; Warto wrócić do Złotowa, to piękne miasto, gdzie można uprawiać sport, zrelaksować się czy wypić kawę ze znajomymi. Jednak minusem Złotowa jest mała liczba miejsc pracy. Niestety młodzi ludzie muszą mieszkać poza Złotowem, aby móc się rozwijać i znaleźć pracę w swoim zawodzie – ze smutkiem komentują ankietowani w przedziale od 18 do 25 roku życia. Dowiedziałam się, że ciężko jest zdobyć pracę w zgodną z kierunkiem wykształcenia, pracę, która mogłaby stanowić spełnienie marzeń czy celów, jakie każdy z nas pielęgnuje od dziecięcych lat, która zapewniłaby finansową niezależność. Co jest nie tak? Praca w Złotowie? - chyba tylko po znajomości – odpowiadają zrezygnowani absolwenci szkół wyższych. Niewiele młodych osób powraca do Złotowa, barierą jest właśnie brak możliwości znalezienia stałego zatrudnienia. Ci, którzy decydują się na pozostanie w rodzinnym mieście, często zostają bez pracy. Stopa bezrobocia do końca czerwca 2013 r. wynosiła 17,9% (dane PUP). Z danych na temat struktury*

bezrobocia wg poziomu wykształcenia w mieście Złotów z końca czerwca 2013 r. możemy odczytać, że bez pracy było: 391 osób z wykształceniem policealnym, średnim ogólnym i średnim

płatną pracę. *Odkąd wybrałam takie rozwiązanie, nie muszę się już martwić, czy wystarczy mi środków na opłacenie rachunków i utrzymanie dzieci. Choć tęsknię za rodzinnym miastem i wracam*



Promenada w pogodny wieczór jest urzekająca... fot. Weronika Rogut

zawodowym, 501 osób z wykształceniem zawodowym, gimnazjalnym i niższym, 103 osoby z wykształceniem wyższym. Przeglądając jednak oferty miejsc pracy zauważyłam, że aby zwiększyć szansę na otrzymanie zatrudnienia, trzeba posiadać pewne umiejętności, mniej potrzebny jest dyplom ukończenia studiów. Nasuwać się może smutny wniosek, że w realiach złotowskich lepiej jest zrezygnować z wyższego wykształcenia i po prostu jak najszybciej znaleźć pracę... Może wtedy łatwiej jest osiągnąć stabilizację materialną, ale czy będzie się szczęśliwym mieszkańcem Złotowa? Niektórzy jednak zamiast zwiększać szeregi bezrobotnych lub siły roboczej, wolą udać się w poszukiwaniu pracy na Zachód. Co ich motywuje do takiej decyzji? *Wyjechałem, bo za tysiąc złotych na śmieciową umowę pracować nie będę – odpowiada rozgoryczony 25-letni były mieszkaniec Złotowa. Czy wyjazd na Zachód rozwiązuje problem? Zdecydowałam się na wyjazd za granicę właśnie ze względu na pewną i dobrze*

tutaj często, by odetchnąć, raczej nie zdecyduję się na stały powrót do Złotowa - zdradza 32-letnia była mieszkanka miasta.

Zatem wyjazd na Zachód? Tu pojawia się kolejna ważna kwestia - problem rozbitych rodzin i dzieci, pozostających pod opieką dziadków lub jednego z rodziców, czyli tzw. eurosierot. Co zatem jest lepsze: wyjazd za granicę czy pozostanie w Złotowie i praca, niezbyt dobrze wynagradzana i często bez widoków na awans zawodowy? Na to pytanie każdy musi odpowiedzieć sobie sam.

Jagoda Szczygiel

A może Złotów?

Zastanawialiście się kiedyś, czy warto mieszkać w naszym mieście? Wydaje mi się, że to pytanie nurtuje każdego młodego człowieka, który podejmuje decyzje związane z przyszłością. Przeprowadziłam ankietę, w której zapytałam mieszkańców Złotowa w różnym wieku, jakie jest ich zdanie na ten temat. Pojawiło się wiele odpowiedzi: pozytywnych, neutralnych, a także dość kontrowersyjnych, zmuszających do refleksji. Przekonajcie się sami!



Wypełniając ankietę, należało odpowiedzieć na pytanie, zaznaczając jedną z czterech z możliwych odpowiedzi, wybrać odpowiedni przedział wiekowy, płeć oraz krótko uzasadnić swoją opinię. W badaniu wzięło udział 82 ankietowanych.

Oto niektóre z nich:

„Zostałam w dużym mieście po studiach, mam tutaj pracę i więcej perspektyw rozwoju w każdym tego słowa znaczeniu. Uwielbiam wracać do Złotowa, ale tylko po to, by odpocząć.” **Kobieta, 18-25 lat**

„Piękne miasteczko, wielu niezwykłych ludzi z pasją, mnóstwo społeczników - stąd aktywne stowarzyszenia, fundacje, grupy i zespoły (chyba najwyższy wskaźnik potencjału społecznego w Wielkopolsce ;) Przywiązanie do tradycji i umiłowanie Małej Ojczyzny. Dzisiaj już nie trzeba mieszkać w dużym mieście aby się rozwijać.” **Kobieta 46-55 lat**

„Jeśli masz pasję i ciekawy pomysł na życie, to możesz go realizować w Warszawie, w Złotowie czy w Krajence.” **Kobieta, 36-45 lat**

„...Złotów jest miejscem malowniczym z dużą ilością miejsc zieleni, lecz niestety pod względem miejsc pracy oraz rozrywek kulturowych jest to miasto martwe. Brakuje szkoły artystycznej i nie tylko, aby zatrzymać młodzież w naszym mieście. Moim zdaniem miasto umiera kulturowo...” **Mężczyzna, 18-25 lat**

„Złotów ma swój urok, ale większe miasto to większy rynek pracy, szersze spektrum możliwości doksztalcania się, rozwoju, dokonywania zmian. Ważne: łatwiejszy dostęp do specjalistycznej opieki medycznej. Przyjemne: dostęp do różnych form kultury, choćby kina.” **Kobieta, 36-45 lat**

„Za granicą są lepsze możliwości rozwoju i płac.” **Mężczyzna, 36-45 lat**

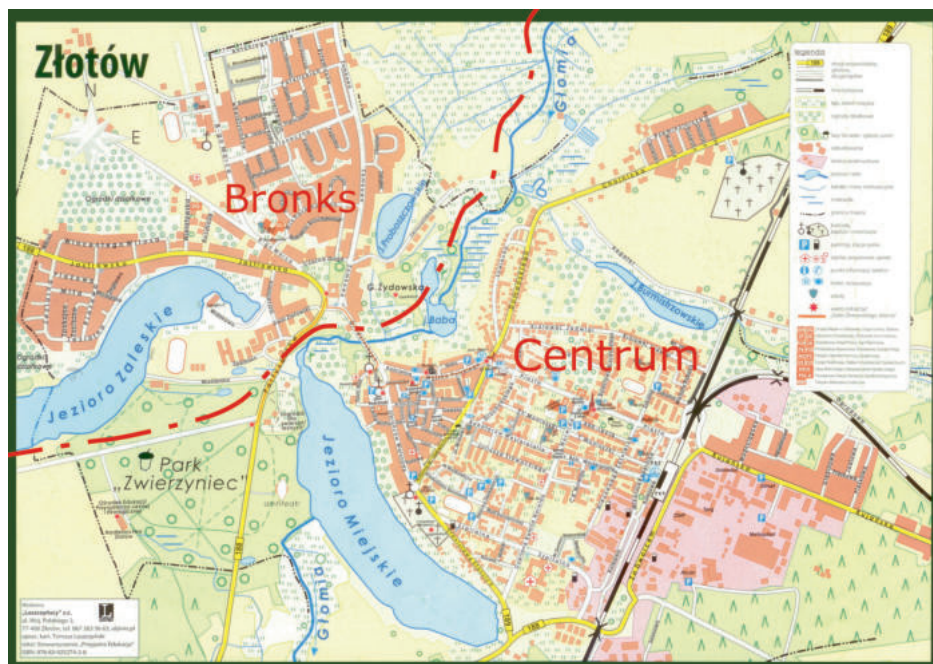
„Właściwa proporcja między anonimowością a byciem poznawanym na ulicy.” **Mężczyzna 46-55 lat**

„Dlaczego? Ponieważ jest to bardzo ładne i zadbane miasto, w dodatku cały czas rozwijające się.” **Mężczyzna, 26-35 lat**

Jagoda Szczygieł

Granica na Kaczym Dołku

Centrum i Bronks – nawet prowincjonalne nieduże miasteczko ma swoje uprzywilejowane i gorsze dzielnice. Antagonizmy między złotowianami mieszkającymi na różnych brzegach Głomi są wpisane zarówno w topografię miasta jak i relacje społeczne.



całe miasto czuje! Dym szary z kominów w co drugim domu. No, bezpiecznie też nie mają, patroli pewnie dużo nie jeździ, a komenda hen, hen! – nieprzychylnie ocenili złotowskie zarzeczce panowie w średnim wieku, napotkani w okolicy urzędu miasta – I jeszcze psy się palętają, bezpieczne zresztą. Do tegoco chwilę prądu nie ma. Wiem, bo rodzice się tam przeprowadzili kilka lat temu. -Jak latem idziemy na plażę, to wstąpimy nieraz do jakiegoś sklepu po drodze. To straszne ile plotek można się tam nasłuchać! Jak na jakiejś wsi normalnie, gdzie wszyscy wszystkich znają! – przyznali „chłopaki z miasta”, Patryk z kolegą.

Postanowiliśmy sprawdzić, jak bardzo różnią się między sobą dzielnice Złotowa. Zadaliśmy sobie pytanie, czy mieszkańcy tzw. Centrum odczuwają niechęć do osób mieszkających za rzeką i czy jest ona wzajemna? Interesowało nas również, skąd wzięło się przekonanie o gorszej sytuacji osiedli mieszczących się na zachód od Głomi, czy ich mieszkańcy faktycznie mogą czuć się w pewien sposób wykluczeni? W tym celu przeprowadziliśmy wiele rozmów, zarówno z naszymi znajomymi jak i z przypadkowymi przechodniami.

Aby uzyskać pełny obraz sytuacji, musieliśmy spojrzeć na nią z obu perspektyw. Postanowiliśmy zacząć nasze dziennikarskie śledztwo od osób, które od dawna mieszkają w centrum Złotowa, najczęściej przez mieszkańców zwanego po prostu MIASTEM. *Różnica jest kolosalna! Zwykle nawet nie zwracamy sobie głowy istnieniem drugiej części Złotowa. Z osobami z Bronksu spotykamy się dopiero w szkole średniej i to jest*

prawdziwy kosmos! Mimo że pochodzimy z tego samego miasta, większość widzę pierwszy raz w życiu, jakby się gdzieś chowali przez tych kilkanaście lat!- stwierdziła uczennica I LO. Tam za rzeką to nigdy nikt porządnny nie wyrós! – twierdzi pani Basia, właścicielka mieszkania w bloku przy ulicy Bohaterów Westerplatte - Kiedyś to tam było jeszcze gorzej, tylko niskie bloki stały, a ludzie żadnych perspektyw nie mieli na przyszłość. Myśmy o nich dużo nie myśleli, PGR i tyle. Inne mieliśmy zmartwienia na głowie. Opowieść starszej pani tak nas zaintrygowała, że zapytaliśmy, czy dostrzega od tamtego czasu jakieś zmiany w relacjach między dzielnicami: A tak, tak. Teraz też często za rzekę nie zaglądam, ale wszyscy wiemy, że się tam budują ci, co to im się powodzi.

Oddalenie od Centrum może utrudniać codzienne życie: *Oj, ja to bym nie chciał z każdą sprawą zasuwać na drugi koniec miasta, a oni muszą – śmiał się pan Tomek, mieszkający przy placu Paderewskiego. Jakie śmieci palą, to*

Mimo że pojawiło się też kilka obojętnych i pozytywnych opinii widać, że jest jeszcze wielu złotowian negatywnie nastawionych do Bronksu. Z rozmowy z panią Basią wiemy, że problem nie jest dziś tak dotkliwy jak dawniej, ale funkcjonujących stereotypów niełatwo się pozbyć. Tymczasem Bronks zmienia się, jednak urbanizacja postępuje powoli. Rozwinęło się budownictwo indywidualne, natomiast budynki użyteczności publicznej są nieliczne. Ale czy to źle? Tego postanowiliśmy dowiedzieć się od mieszkańców dzielnicy: *Życie w mieście to tylko hałas, hałas i hałas! Nie mogłabym, wstając z łóżka, słyszeć tylko silników i klaksonów! A w okolicach ratusza co chwilę hejnał i ryczenie jelenia. To musi być koszmar! – spekulowała sklepowa z osiedla za rzeką – No i nawet idąc rano do sklepu, trzeba się nastać przy pasach. U nas jakiś ten ruch spokojniejszy. Nawet nie można wyjść z dzieckiem na spacer, bo w środku miasta, na Placu Paderewskiego, siedzą sobie i popijają jakieś tanie trunki*

panowie, których moja córka oglądać nie musi! Jest przecież noclegownia dla bezdomnych, ktoś powinien coś z tym zrobić! – stwierdziła pani Katarzyna z Jeziornej, ulegając nagle wzburzeniu. – Ja się cieszę, że mam dom. W mieście raczej większość w blokach siedzi. Jak będę miała dzieci, to na pewno postaram się, żeby też wychowywały się w domu. To będzie dla nich lepsze! – powiedziała nam uczennica SP2. – Życie tam jest takie szare i szybkie. Tutaj jest mnóstwo zieleni i wody. Gdzie się nie spojrzy, tam pięknie! – zachwyt pana Mariana z Jastrowskiej podziela wielu złotowian.

Ja i oni

Wiemy już, że zdania osób zamieszkujących różne brzegi Głomi na temat atrakcyjności obu rejonów są podzielone i każdy broni „swojej ziemi”. Aby wykazać więcej różnic, postanowiliśmy opisać krótko własne doświadczenia, zaczynając od wczesnego dzieciństwa, gdyż oboje mieszkamy od urodzenia po przeciwnych stronach miasta.

ŁUKASZ: *Od kiedy pamiętam mieszkam przy ul. Jastrowskiej, na terenach przez młodsze pokolenie złotowian nazywanych Bronksem. Moja pięcioosobowa rodzina zajmuje połowę budynku, tzw. bliźniaka. Mimo że usytuowany jest on przy jednej z najdłuższych ulic Złotowa, okolica jest bardzo spokojna. Naprzeciw znajduje się mały sklep „Maciej”, do którego od najmłodszych lat biegaliśmy z bratem po słodycze i mniejsze zakupy. Z kolei za domem mamy sporą, schodzącą aż do Jeziora Zaleskiego działkę z drzewami owocowymi i ogromnym trawnikiem. Droga do przedszkola zajmowała nam kilka minut, do podstawówki i gimnazjum jeszcze mniej. W każdej z tych placówek panowała familiarna atmosfera, ponieważ nieduża liczba uczniów pozwalała na łatwe odnalezienie się w towarzystwie, a nauczyciele nigdy nie mieli problemu z zapamiętaniem imion. Większość dzieciaków знаła się z sąsiedztwa. Niezmienny skład klas do*



Most na rzece Głomi, fot. Weronika Rogut

ukończenia gimnazjum sprzyjał trwałym więzom. W „mieście” czuliśmy się nieco wyobcowani. Oczywiście nie każdy ograniczał swoje spacerowanie do osiedlowych uliczek, ale wielu uczniów Dwójki nie czuło potrzeby zaznajamiania się z centrum Złotowa. Sytuacja zmieniła się, gdy rozpoczęliśmy naukę w szkołach średnich. Musieliśmy przekroczyć Głomię i granice naszego małego świata.

KLAUDIA: *Zawsze mieszkalam przy ulicy Bohaterów Westerplatte w centrum Złotowa. Mieszkam w domu dwurodzinnym. Moja czteroosobowa rodzina zajmuje połowę domu, a drugą część rodzice mamy. Okolice była spokojna do czasu, gdy wybudowano Netto oraz odnowionodworzec PKS. Niedaleko znajduje się Park Miejski, w którym zawsze oddawałam się beztroskim, dziecięcym harcom. W ostatnich latach miasto zadbało o przestrzeń, na miejscu zielonej wydeptanej polanki powstały plac zabaw oraz siłownia. Przygodę z edukacją zaczęłam w Zespole Szkół Samorządowych nr 1, w którym zawsze panowała sympatyczna atmosfera. Gimnazjum pozwalało poznać nowych ludzi, tych którzy przyszli z innych szkół, bądź dojeżdżali spoza terenów Złotowa. Mieszkańcy mojego osiedla, moi koledzy i koleżanki z piaskownicy, jak i ja, dobrze znaliśmy centrum miasta, a jedynym terenem, gdzie nigdy nie zaglądaliśmy, była druga strona rzeki. Jednak gdy*

rozpoczęliśmy naukę w liceum, „wizyty” za rzeką stawały się coraz częstsze, z racji szkolnych znajomości z osobami z tajemniczego Bronksu.

Nowe serce miasta

Tyle o różnicach. Pomyślmy natomiast, co łączy dzielnice, które rozdzieliła Głomia? Promenada! To właśnie tam spotykamy się wszyscy i wszyscy mamy do niej równie łatwy dostęp. Nieważne, z której części Złotowa pochodzimy, to i tak nad Jezioro Miejskie wybieramy się na spacer z psem, idziemy pobiegać, siadamy na ławeczce, aby poczytać książkę w towarzystwie dziadków i rodziców pilnujących rozbieganych dzieci. To właśnie nasz zielony, tętniący życiem półwysep stał się centrum towarzyskich spotkań.

Zarzecze rozwija się, jego mieszkańcy mają w końcu nowy kościół, przychodnię, pizzerię i market. W tym roku doczekali się nawet nowych, świątecznych ozdób na lampach ulicznych. Czy powstająca infrastruktura zatrze granice pomiędzy Centum a Bronksem? Mieszkańcy już chyba tego nie oczekują, a nawet cieszą się odległością od miasta, gdyż zamiast bloków i zatłoczonych parkingów mają przestrzeń i dużo natury wokół siebie.

*Łukasz Klawunn
Klaudia Sypniewska*

Na styku kultur

Kilka lat temu w szafie mojej babci znalazłam starą fotografię. Bardzo zaciekawili mnie ludzie znajdujący się na niej. Ich ubiór i fryzury znacznie różnią się od współczesnych. Głowy kobiet zdobią okazałe eleganckie kapelusze, a twarze prawie wszystkich mężczyzn pokrywają długie wąsy. Moje zdziwienie było ogromne, gdy babcia uświadomiła mi, że wśród tych osób znajdują się również moi prapradziadkowie.

Licznych pytań, dotyczących moich przodków, nie zdołam tu przytoczyć. Dowiedziałam się, że zdjęcie zostało zrobione prawdopodobnie przed pierwszą wojną światową w Salzburgu w Austrii. Nazwa placu, dokładne miejsce oraz wydarzenie, którego świadkami byli moi prapradziadkowie, niestety na zawsze pozostaną tajemnicą.

Mój prapradziadek Albert von Tempski (na zdjęciu) był dyrektorem szkoły podstawowej w Łobżenicy. Przywędrował tutaj z Kaszub, urodził się w rodzinie nauczyciela Adolfa von Tempskiego, który prowadził szkołę w Sierakowicach. Były to trudne czasy zaborów, językiem obowiązującym był niemiecki. Albert poślubił Agnieszkę Gramse i urodziło im się siedmioro dzieci. Wśród nich moja prababcia Jadwiga. Kiedy skończyła 20 lat, Polska odzyskała niepodległość (1918). Jej ojciec postanowił dalej wykonywać swoją pracę w Łobżenicy, musiał więc pójść na lekcje polskiego do księdza, ponieważ jego znajomość tego języka nie była wystarczająca. Wszyscy inni nauczyciele wyjechali do Niemiec. Jadwiga wyszła za mąż za Polaka „z krwi i kości”, Jana Grochowskiego, który walczył o zniesienie zaborów w czasie Powstania Wielkopolskiego. W tym domu, w którym z pewnością mieszały się kultury i języki, urodziła się moja babcia Maria. Z jej dziecińczych wspomnień wynika, że Złotów, leżący tylko 25 km od Łobżenicy, był niemieckim miastem, dla niej dalekim i nieosiągalnym.

Co przetrwało do dzisiaj z tamtych czasów? Na Wielkanoc razem



Fot. archiwum autorki

z babcią przegotuję Soleier. Już sama nazwa brzmi obco. Ja nazywam tą potrawę „czarne jajka”. Są to właśnie jajka leżakujące co najmniej tydzień w słonej wodzie. Jakie było moje zdziwienie, kiedy podczas wizyty w Dusseldorfie (Niemcy), w restauracyjnym menu odszukałam słynną potrawę. Czyżby dalsze korzenie mojej rodziny sięgały tych terenów? Inna świąteczna potrawa to pieczeń wołowa nazywana przez babcię Sauerbraten. Można ją znaleźć w menu prawie każdej restauracji w Nadrenii – Westfalii (Niemcy). W moim życiu obecne są też liczne rzeczy materialne, posiadające długą historię rodzinną. Piszę ten artykuł przy biurku, które było w przeszłości własnością mojego wujka Władysława Wittstocka (ur.1896-zm.1966) - polskiego nauczyciela i dyrygenta chórów. Władysław kierował 4-klasową szkołą polską w Zakrzewie i brał czynny udział w działalności młodzieżowych

stowarzyszeń polskich. Założył też 90-osobowy chór wiejski, który z czasem stał się reprezentacyjnym chórem Związku Polaków w Niemczech.

W moim domu przetrwało jeszcze wiele drobniejszych rzeczy, które dzisiaj nie mają już żadnej wartości materialnej, ale ogromną sentymentalną, np. koraliki mojej praprababci Agnieszki (na zdjęciu).

Ludzie, rzeczy i wspomnienia tworzą niesamowitą historię, która mnie w pewnym sensie ukształtowała. Mam świadomość, że każda osoba z tego zdjęcia ma własną opowieść życia, tak jak przedmioty, które przetrwały do dziś. Uważam, że wszyscy powinniśmy szukać swoich korzeni, pytać, zastanawiać się i pielęgnować wspomnienia, żeby ocalić je od zapomnienia.

Matylda Miareczko

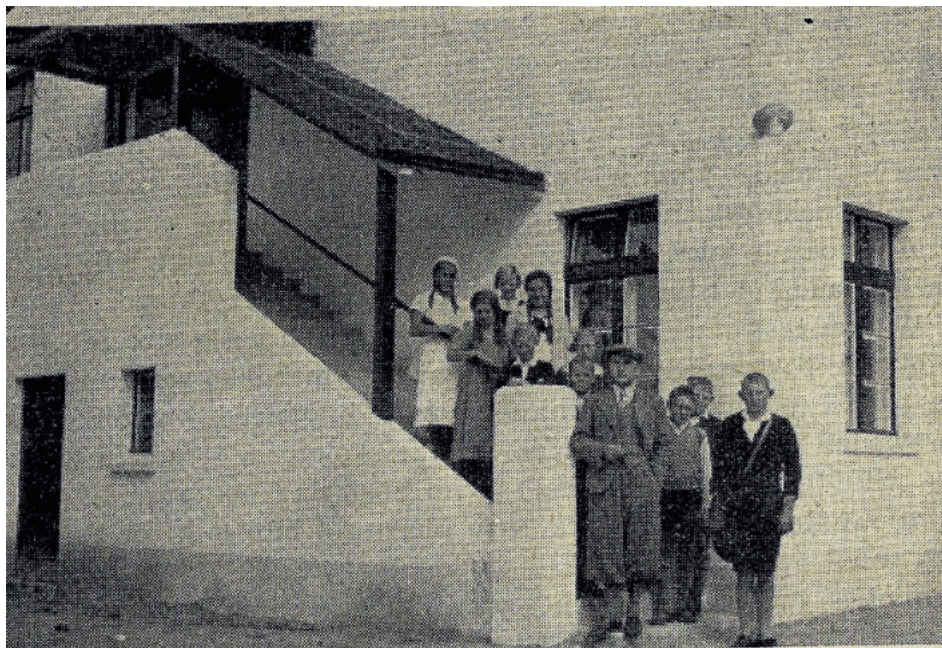
W poszukiwaniu prawdziwej historii

Błękwit jest to wieś położona na południe od Złotowa. Pierwsze wzmianki sięgają 1432 roku, lecz znaleziska świadczą o jej wcześniejszym istnieniu. Wieś, tak jak całą Złotowszczyznę, objął I rozbiór Polski - została przyłączona do Prus. Dopiero po II wojnie światowej Błękwit powrócił do Macierzy.

Te „suche” fakty można wyczytać w każdej książce, natomiast ja chciałabym przybliżyć wciąż żywą historię przedwojennego Błękwitu, zasłyszana od pana Leona Kutzmanna, który jest jednym z nielicznych mieszkańców wsi, pamiętających tamte czasy.

Błękwit, a raczej Blankwitt, bo tak brzmiała niemiecka nazwa, leżał na Pograniczu, dlatego sąsiadowała tu ze sobą ludność polska i niemiecka. Na ok. 370 mieszkańców - Niemców było 180. Niestety, konflikt był nieunikniony: *Na podwórku przezywali nas „Kreuzpolaken”* - wspomina pan Leon. Spięcia między sąsiadami zaostrzyły się, kiedy Władysław Kutzmann i Władysław Wajer zaczęli pracować nad tożsamością wsi, aby zapobiec powolnemu wynaradawianiu Polaków. W Błękwicie powstała świetlica polska, gdzie spotykano się kilka razy w tygodniu. Ponadto wioska była bogata w kolekcję polskich książek, które każdy mógł wypożyczyć. Po wielu staraniach mieszkańców 22 października 1930 roku powstała polska szkoła. *Najpierw lekcje były w niemieckiej szkole - jedną klasę mieliśmy. Ale to ojcom się nie podobało i przeprowadzono rozmowy, dzięki którym u gospodarza Kierzka mieliśmy klasę. Kierzek dobudował część domu w stronę rzeki, gdzie mieliśmy zajęcia. A Niemcy mówili, że gdyby wiedzieli, że tam powstanie polska szkoła, to nie daliby mu pozwolenia na budowę, ani kredytu, nic* - opowiada pan Leon.

Szkoła na tzw. Górcie Kierzkowej była nazywana przez hitlerowców polską fortecą. Stało się tak dzięki bydgoszczaninowi Leonowi



Wycieczka młodzieży do Zakrzewa, fot.z książki L. Kowalskiego "Czas próby"

Kowalskiemu, trzeciemu z kolei nauczycielowi w Błękwicie. Zaczął on pracę w 1931 roku. Dzięki jego polskim przedstawieniom teatralnym dla całej wsi i wycieczkom do Polski dzieci i młodzież miały okazję do poznawania swojej ojczyzny.

Gdy przyszedł czas wojny, po niecałym tygodniu szkołę na Górcie Kierzkowej zamknięto, a Leon Kowalski wrócił do Bydgoszczy, gdzie pozostał do końca życia. Polskie dzieci miały przerwę w nauce, jednak jak wspomina pan Leon: *Wollschläger poszedł do inspektoratu, że dzieci nie chodzą do szkoły i one nie są temu winne. Wtedy pozwolenie dostaliśmy i zaczęliśmy chodzić tu do szkoły (niemieckiej).* Szkoła niemiecka znajdowała się w środku wsi, miała dobry poziom nauczania, jednak polskie dzieci musiały zmierzyć się z poniżeniem przez niemieckich kolegów i nauczycieli. *Tam szans żadnych myśmy nie mieli:*

*Posadzili nas do tych małych ławek i wtedy ten nauczyciel powiedział: "Wy, Polacy, wszyscy u mnie nie wyjdziecie z pierwszej klasy" - wspomina pierwsze zajęcia pan Leon, który w pierwszej klasie pozostał przez trzy lata. W końcu zaprzestał uczenia się, ponieważ jego ojciec trafił do obozu koncentracyjnego, a on wraz z braćmi musieli zająć się gospodarstwem. Dopiero po wojnie wrócił do nauki: *Przerzucili mnie od razu do V klasy, ale nie dałem już rady. Przez to wszystko straciłem dużo nauki-* zali się pan Kutzmann.*

W okresie międzywojennym Błękwit stał się ważnym ośrodkiem polskości. To właśnie tu powstała samorządnie w 1935 roku jedna z pierwszych drużyn harcerskich na Ziemi Złotowskiej. Drużynę im. Jana III Sobieskiego prowadził Maks Moczyński, sekretarzem był Bolesław Bartosz, a za inicjatora uznaje się Józefa Kowalskiego. Zbiórki prowadzone były wraz ze



KS "Lechia", fot. z książki L. Kowalskiego "Czas próby"

złotowskimi drużynami. Również chluba mieszkańców był założony w 1931 roku Klub Sportowy „Sokół” (w 1932 roku zmieniono nazwę na KS „Lechia”). Trenowano w nim aż do wybuchu II wojny piłkę nożną mężczyzn, piłkę siatkową kobiet i mężczyzn, tenis stołowy mężczyzn, szachy oraz lekkoatletykę mężczyzn. Największą sławę klubowi przysporzyła drużyna piłkarska, która w każdym rozgrywkach

organizowanych na Złotowszczyźnie zajmowała miejsce na podium. Pan Leon z uśmiechem na twarzy wspomina jeden z meczy swoich starszych kolegów: *Tu taka mocna drużyna była, że pojechali do Bydgoszczy na mecz, to Bydgoszcz przegrała. A jeszcze przed meczem gospodarze śmiali się: Co wy za bramkarza macie, który nawet do trzech nie potrafi liczyć!*. Te piękne zwycięstwa przerwała wojna.

Błękwit z trudnej wsi (został tak nazwany przez kierownika V Dzielnicy) stał się ostoją polskości, która nie dawała młodym Polakom zapomnieć o swojej ojczyźnie. Leon Kowalski, który spisał swoje wspomnienia z pracy w Błękwicie, przytoczył słowa miejscowego oberżysty Heinricha Reissa: *Miałem niemiecką wieś, a coście mi z niej zrobili!*

W poszukiwaniu prawdziwej historii ważne jest, aby nie zawęzić swoich działań tylko do czytania książek. Najważniejsze jest, aby rozmawiać z ludźmi, którzy bardzo dużo pamiętają, a nie zawsze są na tyle odważni, aby o tym mówić. Dlatego dziękuję panu Leonowi Kutzmannowi, który podzielił się ze mną swoją historią. Dziękuję również Muzeum Ziemi Złotowskiej za książki, które poszerzyły moją wiedzę: „Czas próby” Leona Kowalskiego, „Dzieje sportu polonijnego na Ziemi Złotowskiej” Wojciecha Kokowskiego.

Jowita Gała



Z kuchni naszych dziadków

Soleier, czyli jaja w słonej marynacie

Jajka należy ugotować na twardo (czas gotowania można wydłużyć nawet do 45 minut), po wystudzeniu jaj obtłukujemy ostrożnie skorupkę, uważając, żeby nie odprysnęła. Przez powstałe w ten sposób pęknięcia smak marynaty będzie przenikał do wnętrza jaj. Wędzoną szynkę lub wędzone żeberka gotujemy z dodatkiem przypraw: ziela angielskiego, liścia laurowego i ziarenek pieprzu. Do powstałego rosołu dodajemy soli, chłodzimy go i zbieramy z jego powierzchni zbędną warstwę tłuszczu. Rosołem, który musi mieć bardzo słony smak zalewamy jaja umieszczone w słoju. Słój przechowujemy w lodówce lub w innym chłodnym miejscu. Jajka najlepsze są po upływie 5-7 dni.

Matylda Miareczko



Wszystkie moje podróże

Kto z nas nie słyszał o realizowanym w Złotowie filmie? Na casting przybyło podobno kilkaset osób, niektórzy z ciekawości, inni spragnieni przygody. Wszak okazja do zagrania w filmie fabularnym może trafić się raz w życiu! Wiedzeni ciekawością postanowiliśmy odnaleźć rzadko przebywającego w Polsce reżysera „Gry w butelkę”...



Redakcja: Jak rozpoczęła się Pana przygoda z kamerą? Bycie reżyserem filmowym nie jest typowym wyborem drogi zawodowej, zwłaszcza gdy pochodzi się z małego, prowincjonalnego miasteczka.

Leszek Sawicki: Myślę, że ten wybór nigdy nie jest typowy, nawet jeśli ktoś dorasta w wielkiej metropolii. W moim przypadku przygoda z kamerą zrodziła się w zastępstwie innego medium, jakim jest książka. Takim skrywanym marzeniem, chyba od zawsze, była twórczość literacka, ale pomimo kilku prób nigdy nie zabrałem się do napisania powieści. Filmem natomiast zajmowałem się sporadycznie, w czysto amatorskim wydaniu i przyznam się, że nie traktowałem tego zajęcia poważnie. Myślę, że teraz nadchodzi mój twórczy okres, kiedy naprawdę świadomie zacznę realizować własne zamierzenia. Wynika to również z sytuacji w moim życiu, a dokładnie z otaczających mnie ludzi, zawodowo zajmujących się kinem, dla

których taki wybór jest typową lub mniej typową - ale pracą po prostu, dającą jednak sporo nieukrywanej satysfakcji. Sukces natomiast zdarza się nielicznym i dlatego, oraz z wielu innych powodów, jest to zajęcie stresujące i ryzykowne, które trzeba lubić. Inaczej się nie da.

Na pewno wspomina Pan swoje szkolne lata. Odczuwa Pan jakieś szczególne więzi z miastem, ludźmi?

Złotów wspominał bardzo dobrze jako miejsce, w którym się urodziłem i dorastałem, poznając wszystko to, co pierwsze... Odpowiadając na to pytanie przypominam sobie pewien spektakularny seans, mianowicie złotowską premierę filmu pt. „E.T.” Stevena Spielberga. Działo się to w nieistniejącym już kinie Rodło. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego zdesperowanego tłumu widzów, który dosłownie nacierał na kinową kasę. Byłem już bardzo blisko okienka, kiedy ręka jednej z osób, pchanych przez napierającą falę ludzką, nie znalazła

oparcia i wbiła się w szklaną szybę kasy, za którą stała oniemiała bileterka. Spore odłamy szkła posypały się wokół, a jeden z nich odbił się od mojej kurtki. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Potem chyba przyjechała milicja i opanowała ludzką masę, głodną „filmowych igrzysk”. „E.T.” obejrzałem z poczuciem zaistnienia w jakiejś szczególnej ceremonii. Nie wiem, być może tego dnia właśnie, w złotowskim kinie Rodło, zapaliło się we mnie coś, co ogrzewa mnie do dzisiaj. Pamiętam jeszcze inną rzecz, bardzo szczególną, czyli rozlewającą się celulozę, topiąca się w projektorze taśmę filmową, którą oglądałem na ekranie z wielkim zainteresowaniem. Reakcje widzów na te nieplanowane przerwy zawsze były bardzo silne i zależały od poziomu filmu oraz miejsca zerwanej wraz z taśmą akcji.

Podobno jest Pan człowiekiem, który chętnie poznaje świat, podróżuje. Ciekawi nas, czy przeżył Pan jakąś niezwykłą przygodę?

Było wiele naprawdę ciekawych ale i niebezpiecznych sytuacji, które przeżyłem jakiś czas temu, a które zaczynam oceniać z dystansu. Niewątpliwie do najbardziej niezwykłych wojaży mogę zaliczyć moją ostatnią wielką wyprawę. Wyobraźcie sobie miesiąc spędzony na Haiti, już po trzęsieniu ziemi, przeżyty w małej wiosce, centrum haitańskiego Vaudou. Tej niezwykłości nie jestem w stanie opisać w kilkunastu słowach. Wątek nienapisanej książki – zwłaszcza w tym przypadku - powraca i mam nadzieję, że kiedyś znajdę na nią czas.

Wyruszając w świat, ludzie szukają różnych wrażeń, chcą coś zobaczyć, kogoś poznać, albo poleżeć na plaży. Do jakiej kategorii wędrowców Pan należy? Szuka Pan inspiracji czy też przestrzeni dla Siebie? Czy jest to jakiś przejaw współczesnego kosmopolityzmu?

W zasadzie, poza dwoma ważnymi wyjątkami, nigdy nie podróżowałem sam, a podobno jest to bardzo dobry sposób, bo pozwalający na lepsze skupienie na otaczającym świecie. Wszystko jednak zależy od tego, z kim jedziemy. Dla mnie najlepsze są podróże w duecie, z bliską osobą, aby wszystkie przeżycia można było dzielić i komentować już na miejscu. Prawdą jest również to, że podróżując sam bywałem mniej ostrożny, mniej odpowiedzialny, co kilkakrotnie było dla mnie bardzo niebezpieczne. Natomiast niemal wszystkie moje podróże związane były z jakimś projektem filmowym lub ostatnio naukowym, jak wspomniana haitańska wyprawa. Zdecydowanie nie czuję się „obywatелем świata”, kosmopolitą, a jeśli odnalazłem w sobie pewne uczucia patriotyczne, to zrodziły się one właśnie na przewlekłej emigracji, również za sprawą burzliwych dyskusji na temat polskiej przeszłości.

Skąd wziął się pomysł na fabułę filmu „Gra w butelkę”?

Punktem wyjścia fabuły jest wydarzenie z roku 1990, kiedy to złotowska ekipa budowlana (przypadek autentyczny) odkryła piwnicę sławnego dawniej w regionie hotelu Lamberz, ze znajdującym się tam, nietkniętym przez lata, magazynem alkoholu i innych artykułów. Ta sama piwnica była również składem i siedzibą Towarzystwa Butelkowego, organizacji tajnej o charakterze okultystycznym, założonej w roku 1814 przez grupę niemieckich, polskich i żydowskich ezoteryków. To będzie opowieść z wielką historią w tle,

z silnym wątkiem metafizycznym oraz wartką akcją.



Hotel Lamberz, fot. <http://pzl24.pl>

Czy jest Pan zadowolony z obsady filmowej? Niektórzy uczniowie naszego liceum wzięli udział w castingu, bardziej z ciekawości, niż nadziei na karierę. Jakie predyspozycje musi mieć osoba, by zostać aktorem – amatorem?

Obsada filmu jest sprawą kluczową, a od jej celności zależeć będzie wszystko. Dla mnie w filmie najważniejsi są aktorzy, ich emocje, które trzymają historię, a które muszą być prawdziwe. Mamy im przecież uwierzyć, a widz powinien sobie nimi pooddychać. Aktorstwo uważam za zajęcie ekstremalnie trudne i mam wielki szacunek dla ludzi pracujących w tym zawodzie. Jest wiele filmów i sztuk teatralnych, w których nie przekracza się pewnej granicy lub nie pracuje się dla jej uzyskania. W moim filmie ma być „gęsto” od emocji. Pracuję z zawodowcami i aktorami nieprofesjonalnymi. Wracając do obsady - jeszcze jej nie zamknąłem, brakuje mi dwóch osób, m.in. dlatego, że ciągle wymieniam je na lepsze. Oprócz statystów, których zaproszę wielu, potrzeba mi odtwórców konkretnych

postaci. Szukam ich wśród amatorów właśnie, czyli miłośników tej pracy. Próbuję ich zdolności, a przede wszystkim chęci i możliwości przemiany. Oni po prostu muszą zapomnieć, że grają... Ale wprowadzenie ich w ten stan, to również moje zadanie.

Kiedy będzie oficjalna premiera filmu? Czy ma Pan zamiar pokazać Swoją produkcję szerszemu gronu odbiorców?

Jeśli wszystko się powiedzie „Gra w butelkę” ukaże się w 2015 roku. Złotów jest tu tzw. lokacją filmową, plenerem oraz bazą historycznych wątków. Bez Złotowa nie byłoby tego filmu, to dotyczy wielu spraw. Natomiast mój wymyślony widz, to mieszkaniec Europy. Chcę przez to powiedzieć, że to ma być opowieść uniwersalna, czytelna w każdym miejscu.

Artyści, szukając własnej drogi, często odwołują się do osiągnięć innych, mają swoich mistrzów. Kto jest dla Pana wzorem budzącym podziw, czy jakiś współczesny reżyser inspirował Pana pomysły twórcze?

Nie mam ulubionych reżyserów, ale mam oczywiście bardzo wiele ulubionych filmów. Natomiast filmowe inspiracje pojawiają się często nawet dzięki bardzo złym filmom, w których istnieją czasami rewelacyjne sceny i rozwiązania.

Jakie cechy powinniśmy w sobie kształcić, co umieć, by dać sobie szansę na satysfakcjonujące życie?

Nie mam zielonego pojęcia.

Dziękujemy, że znalazł Pan czas na korespondencję z nami. Mamy nadzieję, że spotkanie na premierze „Gry w butelkę” będzie okazją do ciekawej rozmowy.

Redakcja

Herbatka u pani Irenki

Jestem rodowitą złotowianką, moje lata od czasów dziecięcych do chwili obecnej wiążą się z tym miejscem. Byłam i nadal jestem świadkiem zmian, dokonujących się z roku na rok w naszym pięknym mieście – opowiada Irena Rogut, wieloletnia sekretarka „ogólniaka” i uczennica złotowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Jak to kiedyś bywało? Złotów w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych był małym miastem, które nieustannie się rozwijało. Powstawało tu dużo zakładów pracy, dzięki czemu bezrobocie było niewielkie. Młodzież z kolei gromadziła się w Domu Kultury, który w tamtych czasach był jedyną placówką kulturalną, gdzie można było poszerzać swoje zainteresowania artystyczne. Odbywały się więc zajęcia teatralne, taneczne, a także poetyckie.

Wspomnienia pani Ireny związane są również z obchodami pierwszomajowymi, hucznie celebrowanymi w Złotowie. Były to podobno piękne korowody, w których brały udział zakłady pracy, szkoły - wszyscy mieszkańcy. Główny pochód rozpoczynał się na boisku przy hali sportowej Sparta i kończył się na Alei Piasta, gdzie później odbywały się przedstawienia i miejski piknik. Dużą popularnością cieszyło się w tamtych czasach także kino „Rodło”, które znajdowało się przy ulicy Wojska Polskiego: Z biegiem czasu Złotów zaczął się rozwijać: powstawały nowe ulice, pierwsze bloki, skwery, parki, miejsca, gdzie można było pospacerować oraz odpocząć. W parku przy Alei Piasta znajdowała się muszla koncertowa, w której odbywały się występy złotowskich zespołów i uczniów szkoły muzycznej. Złotów jako piękne, czyste i otoczone jeziorami miasto przyciągało wielu turystów. Istniał nawet kompleks wypoczynkowy, który z biegiem czasu podupadł, ze względu na brak inwestorów. Do Złotowa przyjeżdżali również artyści, których nazwiska



pamiętają chyba jedynie nasi dziadkowie, tacy jak Danuta Rinn, Bogdan Czyżewski czy Kalina Jędrusik.

W naszym Liceum pani Irena Rogut pracowała na stanowisku sekretarza szkoły od 1986 do 2005 roku. *Była to niegdyś czteroletnia szkoła, składająca się z szesnastu oddziałów. Klasy były ciemne, okna stare, pamiętające jeszcze czasy przedwojenne, na parterze zamontowane były wieszaki - prowizoryczne szatnie dla uczniów, a na podłodze pod wpływem wilgoci tworzyły się wyrzuszenia. Szkoła posiadała własną kotłownię i zatrudniała do niej specjalnych palaczy. Z powodu awarii pieca i niedogrzenia budynku uczniowie często mieli dodatkowe dni wolne. Młodzież była jednak bardzo ambitna, dużo czasu poświęcała nauce, czuła respekt przed gronem pedagogicznym oraz brała udział w licznych konkursach i olimpiadach. Mocnym punktem w nauczaniu języków obcych był język francuski, prowadzony przez profesorów:*

Janinę i Czesława Buchwaldów. W klasach humanistycznych nauczano także łaciny. Studniówki odbywały się w szkole, a nie w lokalach czy restauracjach. Co roku miał miejsce również konkurs na ulubionego pracownika szkoły, którego dwukrotną zwyciężczynią była właśnie pani Irena: Młodzież, cała kadra pedagogiczna i obsługa, z jaką przyszło mi w tamtych czasach pracować, to dla mnie szczęśliwy okres pracy, który wspominam z łezką w oku! Dzisiejszy „ogólniak” to już inna, nowa szkoła, jasna, czysta, unowocześniona. Aurę minionych czasów przypominają nam jedynie tableau'a zdobiące ściany korytarzy, z których patrzą na nas czasami nasi rodzice, a niekiedy dziadkowie.

Katarzyna Rogut

Osobisty rozkład jazdy

Każdego ranka z przerażeniem spoglądam na zegarek. Mój osobisty "wyścig z czasem" rozpoczyna się od słów mojego taty: Dagmara! Wstawaj! Już 6.30! Te słowa są jak kubek zimnej wody, które natychmiast stawiają mnie na nogi... Poranna walka z czasem osoby dojeżdżającej z pewnością nie przypomina amerykańskiej telenoweli, ale może zacznę moją historię od początku.

6.30 Czarne myśli kłębią się w mojej głowie, a ich powodem jest krzyk mojego taty dobiegający z drugiego pokoju. Te słowa odbijają się echem w moim mózgu niczym głos dzwonu w Kaplicy Zygmuntowskiej. Pierwsze pytanie, jakie przychodzi mi na myśl każdego ranka, to: w co ja się dzisiaj ubiorę? Przewracam moją szafę do góry nogami, która wygląda później jakby przeszedł przez nią huragan, i misję pt. "ubraniowa rewolucja" uważam za zaliczoną!

7.15 To najbardziej stresujący moment w całej tej bieganinie. Uważne spojrzenie na sytuację, sprawdzenie, czy wszystko zabrałam... minuta zastanowienia i już jestem gotowa do wyjścia. Odcinek dzielący mój dom od przystanku autobusowego pokonuję z prędkością światła. Jestem z natury osobą niecierpliwą i czekanie na przystanku nie należy do najprzyjemniejszych rzeczy.

Nadjeżdżający autobus wywołuje na mojej twarzy uśmiech. Mimo iż zima nie zawitała do nas jeszcze na dobre, to dłuższy pobyt na dworze objawia się u mnie szcękaniem zębami i gęsią skórą. W autobusie teoretycznie panuje cisza i senny nastrój, ale pan kierowca każdego potrafi postawić na nogi znacznie lepiej niż poranna kawa, wykrzykując: Proszę bilety do kontroli! Proszę przesunąć się do tyłu! Powoli zbliżamy się do celu, drogę do szkoły z pewnością pokonamy w biegu, ponieważ zegarek nieubłagalnie wskazuje 7.55, więc pozostało jedynie pięć minut do rozpoczęcia się zajęć!

14.20 Po owocnych staraniach zdobycia wiedzy opuszczamy budynek naszej szkoły. Rozkład jazdy autobusów jest dla mnie bardzo nieprzychylny, ponieważ połączenia są bardzo ograniczone, dlatego wraz z koleżankami udajemy się na ciepły, zdrowy posiłek... Kogo ja

oszukuje? Oczywiście jest to zazwyczaj pizza lub zapiekanka, dlatego w imię prowadzenia zdrowszego trybu życia i ochrony naszych skromnych budżetów próbujemy omijać budki z fast foodami szerokim łukiem. Udajemy się więc na dworzec autobusowy, na którym całe szczęście znajduje się poczekalnia.

15.30 Jadę z głową "przyklejoną" do szyby, a przed oczyma przewija się ciągle ten sam obraz. W moich uszach brzmiały ciągle te same głosy, a w głowie jedno pragnienie: znaleźć się jak najszybciej w domu. I tak przez 280 dni w roku, no może troszkę mniej. Ciepły obiad, możliwość chwilowego oderwania się od rzeczywistości i ta przygnębiająca myśl w mojej głowie, że jutro czeka mnie to samo.

Dagmara Litwinowicz



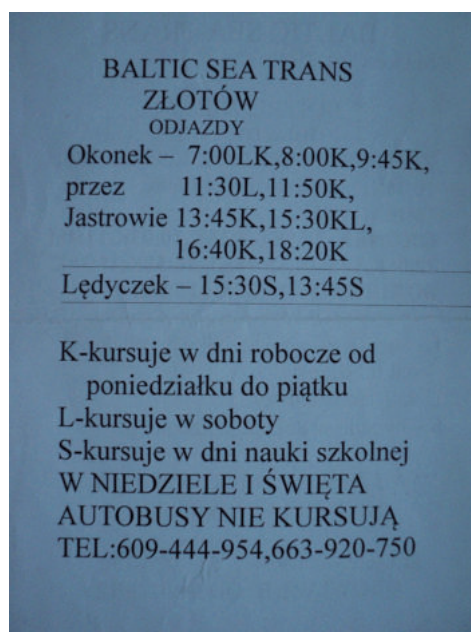
Okiem zaspanego ucznia... fot. Aleksandra Terkiewicz

Przystanek Złotów

Wczesne wstawanie, wieczne niewyspanie, bieganina na przystanki, późne powroty do domu, mało czasu na obowiązki, jeszcze mniej na przyjemności. Tak właśnie wygląda życie dużej części młodzieży, która mieszka poza Złotowem, a uczęszcza do którejś z lokalnych szkół. Dla tych osób miasto jest tylko chwilowym przystankiem, epizodem. Jednak jest to niewątpliwie jeden z ważniejszych przystanków w ich życiu.

Młodzi ludzie z Debrzna i okolicznych wiosek są skazani na dojeżdżanie do szkoły. W tych miejscowościach nie ma ogólniaka, technikum czy zawodówki. Czasem brakuje także podstawówki i gimnazjum. Młodzież staje więc przed koniecznością podjęcia nauki w większym mieście. Młodzi ludzie muszą zdecydować, czy chcą zamieszkać w internacie lub bursie, czy wolą korzystać z usług oferowanych przez PKS i PKP. Dojazdy mają swoje zalety, ale są też niesamowicie męczące. Wyobraź sobie następującą sytuację:

Godzina szósta rano. Właśnie chcesz przekręcić się na drugi bok, kiedy nagle dzwoni budzik. Ze zboląłą miną wstajesz z łóżka. Zupełnie niewyspany udajesz się do łazienki. Poranna toaleta, ubieranie, śniadanie. Wszystkie te czynności zajmują Ci pół godziny. Później sprawdzasz, czy na pewno wszystko spakowałeś do plecaka. Spoglądasz na zegarek i widzisz, że czas już iść. Zakładasz buty, kurtkę i wychodzisz. Jest zimo, przeraźliwie zimno. Udajesz się na przystanek. Cieszysz się, że to tylko dwieście metrów od Twojego domu. Spotykasz tam znajomych, codziennie jeździcie razem. Czekasz na autobus. Na szczęście przyjeżdża punktualnie. Wchodzisz, witasz się z kierowcą, zajmujesz jak zwykle to samo miejsce. Autobus rusza. Twoje niewyspanie daje się we znaki. Dojazd do szkoły trwa pięćdziesiąt minut. Właściwie jesteś z tego faktu zadowolony. Przecież to dodatkowy czas na drzemkę. Zamykasz oczy, przysypiasz. Nagle słyszysz krzyki



fol. Aleksandra Terkiewicz

innych pasażerów, często – niestety – wulgarnie. Cóż, tego dnia nie pośpisz sobie w autobusie. Jesteś z tego powodu poirytowany. Z każdym kolejnym przystankiem ludzi przybywa. Zaczyna brakować miejsca, niektórzy stoją. W końcu dojeżdżacie do Złotowa. Cieszysz się, bo autobus zatrzymuje się pod Twoją szkołą. Idziesz na lekcje. Pierwsza godzina jest najgorsza. Nadal odczuwasz senność. Później to mija, jesteś w stanie skupić się na zajęciach. Spędzasz w szkole sześć, siedem lub osiem godzin. Kiedy masz sześć lekcji, pozostaje pięć minut, żeby się ubrać i dojeść na przystanek, a czasem bywa tak, że jeszcze po dzwonku trzeba zostać w klasie. Zaletą jest jednak wczesny powrót do domu. Kiedy masz siedem lekcji, czekasz godzinę do odjazdu autobusu. Właściwie jest to ciekawa alternatywa. Zawsze możesz pozalać

swoje sprawy lub po prostu pójść na spacer ze znajomymi. Wadą jest to, że gdy wracasz, jest już ciemno. Przychodzisz do domu zmęczony. Jesz obiad. Później zabierasz się za lekcje. Czekają na Ciebie jeszcze codzienne obowiązki. Około dwudziestej trzeciej zaczynasz wieczorną toaletę. Przed północą kładziesz się do łóżka, by następnego dnia znów wstać o szóstej.

Tak właśnie wygląda przeciętny dzień uczniów z Debrzna i okolic. Może się wydawać, że jest beznadziejnie. Nam, dojeżdżającym, zdarza się narzekać, ale tak naprawdę Złotów jest naszym drugim domem. To tutaj spędzamy większość swojego czasu, poznajemy fantastycznych ludzi, nawiązujemy przyjaźnie. Tutaj spotykamy nauczycieli, o których pewnie zawsze będziemy pamiętać. Lubimy Złotów, bo daje nam możliwości, których nie zapewniają nam nasze miejscowości – chociażby to, że możemy uczęszczać do szkoły muzycznej. Złotów zapewnia nam także atrakcje, których nie znajdziemy u siebie. Nie mamy przecież ani basenu, ani lodowiska. Poza tym Złotów to ładne miasto. Nie ukrywamy faktu, że każdy z nas lubi spacerować po Promenadzie.

Myślę, że pomimo dzisiejszego narzekania i czasami zniechęcenia, kiedyś z przyjemnością wrócimy do Złotowa. Odwiedzimy starych znajomych, zajrzemy w ulubione zakątki i po prostu uciekniemy w krainę wspomnień.

Milena Paluch



Redaktorzy naczelni:
Jagoda Szczygieł
Aleksandra Terkiewicz

Autorzy:
Jowita Gała
Łukasz Klawunn
Mateusz Konitzer
Dagmara Litwinowicz
Matylda Miareczko
Milena Paluch
Katarzyna Rogut
Klaudia Sypniewska

Edycja graficzna:
Andrzej Górecki
Marcin Suchorski

Opiekunowie:
Anna Dymek - Drwęcka
Maria Rosińska

Kontakt:
redakcja.lo2012@gmail.com

